

PRZEMIJA POSTAĆ ŚWIATA

Powiada się, że miniony wiek XX wcale nie zaczął się w 1900 roku, lecz czternaście lat później, z chwilą wybuchu pierwszej wielkiej wojny. Wtedy dopiero zaczął odstaniać swe prawdziwe, ludobójcze i totalitarne oblicze. Nie inaczej z obecnym stuleciem, które bynajmniej nie rozpoczęło się w roku 2000, ani nawet 11 września 2001, kiedy tak tragicznie i spektakularnie ujawnił się światowy terroryzm. Nie on jednak zadecyduje o nadchodzącej przyszłości. Nasz wiek zaczął się może w 2005 roku, kiedy narody Zachodu odrzuciły projekt dalszej integracji Unii Europejskiej, może w 2016, z chwilą zwycięstwa Trumpa w USA, a może trochę wcześniej, gdy na Węgrzech zwyciężył Orbán, w Grecji „Syriza”, a wkrótce potem w Polsce rządząca dziś partia.

Albo inaczej: zapomnieliśmy, że istnienie ZSRR miało dla świata korzyści, które skończyły się wraz z upadkiem komunizmu. Sowieckie zagrożenie wymuszało bowiem jedność demokratycznego Zachodu, integrowało Europę i USA, było spoiwem tak dla NATO, jak Unii Europejskiej. Co więcej, cywilizowało kapitalizm, przymuszało, by pokazywał „ludzka twarz”, by sprostał wyzwaniu rzuconemu z Moskwy nie tylko na polu technologii i dochodu narodowego, ale codziennego życia obywateli. To wszystko przestało działać wkrótce po euforycznym i pełnym fałszywych prognoz roku 1989.

Albo może to wszystko jest drugoplanowe. Bo na pierwszym planie jest wyrośnięcie w niebywale krótkim czasie nowego supermocarstwa, które właśnie dościga – dotąd tak pewną swojej przewagi – Amerykę. W tamtym historycznym dla nas roku 1989 Chiny były jeszcze rezerwatem biedy i zacofania, borykającym się nie tylko z dziedzictwem nieszczęsnej „rewolucji

kulturalnej” przewodniczącego Mao, ale z krwawo stłumionym buntem na placu Tian’anmen. Czym Chiny są dziś – wiadomo. Nikt w tamtych czasach nie był w stanie wyobrazić sobie postępu, jaki dokonał się w tym olbrzymim kraju. To obrazuje bezsilność i fałsz przewidywań przyszłości. Ale jedno jest dziś pewne: bezpieczna, przyjazna i przewidywalna rzeczywistość lat dziewięćdziesiątych, a może i pierwszego dziesięciolecia naszego wieku, należy do bezpowrotnej przeszłości. Przemija postać świata. Niebo się chmurzy.

■ SŁOŃCE ZACHODZI NA ZACHODZIE

Historyczny rok 1989 otworzył zniewolonym dotąd narodom drzwi na Zachód. W czasach komunizmu marzeniem Polaków była ucieczka do „wolnego świata”, co udawało się nielicznym, teraz w tej bajkowej krainie swobody i dobrobytu mogliśmy znaleźć się wszyscy. Ale naszą drogę do NATO i Unii Europejskiej zwiastowały już wtedy złe omeny, których woleliśmy nie dostrzegać. Ledwie prezydent Clinton ogłosił w Warszawie zaproszenie nas do Sojuszu, już trzeba było poprzeć bombardowanie Belgradu, choć sympatyczni „Jugole” nie budzili wrogich uczuć.

Wkrótce potem musieliśmy wziąć udział w dwu zamorskich, niepotrzebnych i źle przygotowanych amerykańskich wojnach w Iraku i Afganistanie, pieczętując to krwią polskich żołnierzy. Ledwie w 2004 roku zostaliśmy po długotrwałych negocjacjach przyjęci do Unii Europejskiej, a już referendum we Francji i Holandii odrzuciły projekt europejskiej konstytucji, stanowiący podstawę dalszej integracji. Rządzący Polską po 2005 roku przyjęli to z ulgą, a wielu z nas też obawiało się europejskiego „superpaństwa”. Ale właśnie wtedy Unia straciła swój dalekosiężny cel i rozpoczęło się dreptanie w miejscu, a niezbyt wydarzone pomysły brukselskiej biurokracji pogłębiały rozczarowanie. Wkrótce potem wybuchł kryzys finansowy lat 2008-2009 i okazało się, że Grecja – ale nie tylko ona – oszukuje Brukselę, zaciągając kredyty na cudzy (zwykle niemiecki) koszt. Unia pozbawiona celów dalekosiężnych i akceptowanych przez większość Europejczyków stała się dla nas

tylko bankomatem do pobierania dotacji, a dla czołówki Zachodu – jak Niemcy, Francja czy opuszczająca właśnie Unię Wielka Brytania – tylko ciężarem, a w najlepszym razie rynkiem zbytu.

Sojusz Północnoatlantycki miał kiedyś cel oczywisty: był tarczą i mieczem Zachodu wobec możliwej w każdej chwili sowieckiej agresji. Teraz sam nie wie, czym chce być: obrońcą demokracji w świecie czy zbrojnym ramieniem przeciw watażkom i dyktatorom? Dotkliwie sparzył się na tym nie tylko w Afganistanie. Może powinien być tylko obwarowanym obozem bogaczy przerażonych zalewem głodnych rzesz z Południa? A może tylko amerykańską grupą sojuszniczą, w której pomniejsi partnerzy uczestniczą w zamian za doraźne korzyści?

Ale wtedy obrona Europy zejdzie na dalszy plan, bo Ameryka ma dziś interesy gdzie indziej. Nie inaczej z Unią: jeśli ma być tylko strefą wolnego handlu i współpracy gospodarczej, jak niegdyś jej poprzedniczka EWG, to nadal politycznie będzie zerem. Będzie niezdolna przeciwstawić się Rosji, Chinom czy Ameryce, będzie bezsilna nawet wobec wielkich ponadnarodowych koncernów i banków. Jest jedyną w dziejach i bardzo zaawansowaną próbą stworzenia politycznego organizmu ponadnarodowego, w sytuacji gdy zglobalizowana gospodarka już dawno stała się ponadnarodowa i nie napotyka w tej sferze żadnych granic. Jeśli nie uda się Unii, nie uda się już nikomu.

■ NIE MA JUŻ DZIŚ „WOLNEGO ŚWIATA”

Ale kogo właściwie należy dziś bronić, w czym interesie występować? W drugiej połowie minionego wieku słowa „Zachód” czy „wolny świat” były czymś oczywistym, „żelazna kurtyna” oddzielała wolność od zniewolenia. Dziś Zachód utracił nie tylko przewagę technologiczną, bo depcą mu po piętach Chiny, a za nimi nawet Indie, ale także ideał wolności uległ rozmyciu. Nie ma już prostej antynomii: tu dobro, a tam totalitarna dyktatura. Żadna licząca się siła polityczna w jakimkolwiek kraju nie proponuje już ideologicznej utopii jako recepty na zbawienie świata. Za to demokracji mamy różnobarwną obfitość, choć coraz częściej to kamuflaże. Dawniej wiadomo było, że demokracja ma być liberalna, dziś ten ideał zbrzydł, bo okazał się trudny i wymagający, więc ludzie garną się do łatwiejszych podróbek. Byłe watażka reklamuje się jako demokrata i otula owczą skórą, głosząc, że uszczęśliwi wszystkich, byle tylko oddali nań głos w najbliższych wyborach.

Oczywiście nie mówi, że następne sfalszuje. Więc wolność – choć nadal mamy ją za wzniosłą i piękną – straciła siłę przyciągającą.

Zresztą dzisiejszy „wolny świat” – jeśli jeszcze sięga po to zużyte miano – nie przypomina tego sprzed półwiecza. Na czele londyńskiej metropolii stoi dziś Pakistańczyk, islamscy ministrowie nie są już szokiem, ale oczywistością w Wielkiej Brytanii, Francji, a nawet w Szwecji. Ameryka poszła w tę stronę jeszcze szybciej, anglosascy WASP-owie to dziś mniejszość; przewagę osiągnęli łącznie traktowani Latynosi i Afroamerykanie. Europa nie jest dziś na czele tamtejszych zainteresowań nie tylko ze względu na interesy gospodarcze i militarne, także z powodu korzeni i sentymentów ludności. Nie inaczej w Europie: brak sowieckiej presji – wymuszającej jedność i rozmycie integrujących całość dalekosiężnych celów Unii – sprawił, że na wierzchu wychodzą interesy poszczególnych państw. Rozgrywane w Brukseli w jak najbardziej XIX-wiecznym stylu, choć pod kamuflażem europejskich frazesów.

Nie ma już „wolnego świata”, nie ma już „Zachodu” w starym rozumieniu. „Biała Europa braterskich narodów” istnieje tylko na transparentach niesionych w marszach lokalnych nacjonalistów. Oni także nie przyjmują do wiadomości przemijania znanego im świata.

■ UPADEK AMERYKAŃSKIEGO PRZODOWNICTWA

Jak powiadają historycy gospodarki, „epoka stali i stalówek skończyła się wraz ze śmiercią Stalina”. Dziś to oczywistość: konsekwencją kresu tamtej epoki dymiących kominów i ciężkiego przemysłu był kres Sowietów odwleczony o kilkadziesiąt lat. Nadeszła trwająca do dziś epoka elektroniki i mikrotechnologii zakłętej w kryształkach krzemu albo galu. Jej symbolem była amerykańska „dolina krzemowa” w Kalifornii, gdzie miały siedzibę najcenniejsze firmy komputerowe i technologiczne. Tak jak dwa odmienne światy rozdzielała niegdyś „żelazna kurtyna”, tak dziś w jej miejsce powstała „kurtyna krzemowa”, choć podziały okazują się inne i nie tak drastyczne. Ale to już przeszłość: w raczkującym obecnie systemie superszybkiego Internetu zwanego „5G”, dające się zastosować urządzenia oferują przede wszystkim Chińczycy, potem Koreańczycy (oczywiście z Południa) i na okrasę drepcę za nimi parę firm europejskich; nie ma tam jednak nikogo z „doliny krzemowej”. Oto zwiastujący globalną zmianę obraz jednej tylko dziedziny.

W latach dziewięćdziesiątych, kiedy pracowałem w USA, mogłem odwiedzać wiele amerykańskich instytucji naukowych. Czy to w największym wtedy na świecie akceleratorze cząstek elementarnych Fermilab, zbudowanym na prerii na zachód od Chicago, czy w laboratoriach Seattle albo „doliny krzemowej” dominowały twarze żółte i skośnookie, czasem oliwkowe, hinduskie i arabskie, zdarzali się nawet Polacy, ale najmniej było Jankesów. Tak niepostrzeżenie wykuwał się niedaleki już upadek amerykańskiego przodownictwa. Dzisiaj Chiny rzucają Ameryce wyzwanie nie tylko w elektronice, czego symbolem jest budząca tyle kontrowersji firma Huawei, ale w kosmosie i motoryzacji. Pierwsze osiągnęły ciemną stronę Księżyca i wybierają się na Marsa, mają swoje samochody elektryczne nie gorsze od Tesli, a w uboższych państwach Afryki i Azji już dawno wyparły Europę i Amerykę z roli inwestora, dawcy pożyczek, a tym samym beneficjenta wpływów. Nie było w historii świata przykładu równie szybkiego i skutecznego awansu.

■ EUROPA PO PEKIŃSKU?

Ale Chiny to nie wyłącznie technologia, także styl życia i sposób organizacji społeczeństwa. Pozornie tylko Chińczycy – bogacąc się, zapelniając miasta imponującymi wieżowcami, a przestrzenie pomiędzy nimi nitkami autostrad i szybkiej kolei – coraz bardziej upodabniają się do ludzi Zachodu. Przecież ubierają się według zachodniej, a nie mandaryńskiej mody, korzystają z tych samych udogodnień technicznych, podróżują do tych samych kurortów i podziwiają te same zabytki, a nawet oglądają amerykańskie filmy. Lecz Internet w ich smartfonach jest cenzurowany, a każdy obywatel „państwa środka” podlega stałej ocenie, nad czym pracuje system komputerów, kamer monitorujących i jakie tylko można sobie wyobrazić nowinek technicznych. Każdy jego ruch, każde użycie karty kredytowej, każda wypowiedź na chińskich odpowiednikach Facebooka i Twittera są odnotowywane; za poprawne zachowanie i polityczną lojalność otrzymuje punkty dodatnie, za warcholstwo – ujemne. Potem albo może łatwiej otrzymać kredyt i lepsze mieszkanie, albo uniemożliwią mu zagraniczną wycieczkę bądź nawet przejazd pociągiem. Przyszłowiowy „wielki brat” ma zawsze oczy i uszy nie tylko otwarte, ale wspomóżone osiągnięciami chińskiej technologii. W takim państwie żyje się całkiem wygodnie, o ile nie bajdurzy się o wolności i o innych zakazanych owocach, klaszcze, kiedy

należy, milczy przy innych, stosownych okazjach. Takie państwo nie używa na prawo i lewo brutalnej przemocy dla samego postrachu, jak to czyniły dyktatury w starym stylu. Przemoc jest tu selektywna, skryta, dobrze przygotowana technicznie, a więc słabo dostrzegalna.

Człowiek w takim społeczeństwie może być nawet szczęśliwszy niż w niegdysiejszym „wolnym świecie”, bo nie musi o niczym trudnym decydować, niczego wybierać, popadać w moralne dylematy i rozterki. Każdy wie, co mu wolno, czego ma unikać i jak będzie nagrodzony. Co sobie myśli we własnej łepetynie, o czym pogaduje z kumplami, jak spędza wolny czas i nawet co czyta, na to „wielki brat” nie traci czasu, jego zajmują tylko sprawy ważne dla stabilności ludzkiego mrowiska. Człowiek w takim społeczeństwie ma swój kawałek swobody i zagwarantowany jako taki dobrobyt. Dla wielu Europejczyków zmęczonych rozchukaną wolnością i nieznaną granic liberalizmem może się to okazać atrakcyjne. Także dla Polaków, których tak wielu głosowało i głosuje nadal na daleki od liberalizmu PiS.

Chiny mają więc zapewnioną przyszłość, nie tylko technologiczną i nie tylko w Chinach. Dotąd przez kilka stuleci Europa i potem Stany Zjednoczone jako jej nieodrodna córka były centrum świata. Teraz staje się nim Azja, a Europa powoli przyzwyczajają się do statusu peryferii. Czy pogodzi się także z chińskim stylem życia?

■ OSTATNIE GWIAZDY LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI

Kiedy Polska świętowała 100-lecie niepodległości, przywódcy europejscy zgromadzili się nie na placu Zamkowym w Warszawie, lecz pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu. W Warszawie rządząca partia jak zwykle straszyla uchodźcami, antypolską „ulicą i zagranicą”, wszeteczną laicyzacją, na którą jedynie słuszną receptę ma mieć polski Kościół. W Paryżu Emmanuel Macron usiłował porwać ich wizją zintegrowanej, silnej Europy. Pod Łukiem Triumfalnym odwoływano się do nadziei, na placu Zamkowym – do strachu. No i co z tego zostało na dłużej? Strach oczywiście! Porywające wizje Macrona zdruzgotała z jednej strony chłodna obojętność Angeli Merkel, która woli stosunki dwustronne, z drugiej bunt „żółtych kamizelek”. Tylko strach okazał się trwałą opoką. Chociaż w naszej świadomości fundamenty dla nadziei jeszcze istnieją i wciąż się bronią. Jeszcze 56 proc. Europejczyków (wedle fundacji Bertelsmanna) uważa globalizację za szansę.

Wciąż 65 proc. wierzy, że niekorzystne zmiany klimatyczne można powstrzymać, jeśli tylko rządy porozumieją się w tej sprawie i zaczną skutecznie współpracować. Jeszcze świecą nam ostatnie gwiazdy lepszej przyszłości.

Już 350 lat temu Baruch Spinoza powiedział, że ludźmi można rządzić, dawkując im umiejętnie strach i nadzieję. Współcześni politycy wiedzą o tym doskonale, ale nie wszyscy pojmują, że coraz mniej miejsca jest dla nadziei, a na opuszczone tereny niepowstrzymanie wpelza strach. *Mieć nadzieję to znaczy być gotowym na to, co się jeszcze nie narodziło, ale przy tym nie ulegać rozpacz, gdy nie możemy doczekać się tych narodzin* – napisał Erich Fromm. Albo inaczej: *Trzeba zawsze zaprząć swój pług do jakiegś gwiazdy*. Ale w połowie XIX wieku, gdy Ralph Waldo Emerson, pierwszy wielki filozof, jakiego wydała Ameryka, pisał te słowa, gwiazdy świeciły jeszcze mocno. Od tamtej pory wiele z nich przygasało, ale gwiazda postępu najbardziej.

■ AMBROZJA POPULISTÓW

Warunkiem wiary w postęp jest przekonanie, że jutro będzie choć trochę lepsze od dnia dzisiejszego. W świecie skłóconych państw, rosnących nierówności, niezrozumiałej polityki, coraz niższych emerytur to, co dopiero ma się narodzić, jawi się jako zagrożenie. Ale nie wypływa stąd tradycyjny konserwyzm, czyli rozumna troska o zachowanie dorobku przeszłości, lecz podszyta strachem nostalgia. Niech wrócą stare, dobre czasy! Niech politycy zaczną wreszcie słuchać nas, ciężko pracujących obywateli! Dotąd rządziły elity i patrzcie, co z tego wynikło; teraz k... my!

Strach jest ambrozją populistów, nigdy nie mieli tak łatwo jak dzisiaj. Leszek Kołakowski napisał już dawno: *Kłopot z demokracją jest taki, że nie wydziela żadnych ideologicznych czadów zniewalających umysły młode i naiwne*. Był optymistą, jeszcze wierzył w dorastanie umysłów. Demokracja wymaga dojrzałości i nadziei; populizm tylko złości i nostalgii. Dlatego rozrasta się jak rakowy guz.

Może miałoby tu coś do zaproponowania chrześcijaństwo, ta ostoja i kolebka europejskich i amerykańskich wartości? Niektórzy widzą ratunek w powtórnej ewangelizacji Europy, z rolą Polski jako nowego Mesjasza. Tymczasem język wiary – obojętnie jakiego wyznania – jest wciąż językiem przedkopernikańskim. „Bóg z wysokości spogląda na ziemię” – śpiewany w popularnym psalmie. Kościół już dawno stracił okazję do opowiedzenia językiem nowo-

czesnym najbardziej poruszającej, przejmującej i pełnej miłości historii, jaką kiedykolwiek usłyszał człowiek: ewangelii Chrystusa. Wciąż opowiadamy ją tak, jak trafiała do umysłów palestyńskich pasterzy i greckich handlarzy oliwą przed dwoma tysiącami lat. Trzeba byłoby tu pójść o wiele dalej niż sformułowanie Jana Pawła II: „człowiek jest drogą Kościoła”, albo dzisiejsze wezwanie jego następcy Franciszka, aby Kościół stał się „szpitalem polowym dla poranionych dusz”. Jedyne nawrócenie, któremu uległa Europa, to z heroizmu na konsumeryzm.

■ III WOJNA ŚWIATOWA WŁAŚNIE SIĘ ROZPOCZĘŁA

Jest taka niepokojąca teoria, że zło i agresja tkwiące w człowieku muszą się okresowo wyładować, byśmy potem czas jakiś mogli żyć w pokoju i znowu odbudowywać zgliszcza. Jeśli jest w tym choć ziarno prawdy, to wyjaśnia przyczynę wzbierającej jak świat długi i szeroki złości, pogardy i żądzy niszczenia. Po kolejnym całopalnym parokszymie będzie znowu lepiej. Rozum budzi się na pogorzeli. Przyjaźń odrasta jak ziele na kraterze po erupcji złowrogiego wulkanu.

Ale może III wojna światowa już się rozpoczęła, tylko my – jak zawsze otumanieni przez wielomówne media – jeszcze tego nie pojmujemy. Stratedzy i generałowie wykazują na dzieśiątkach historycznych przykładów, że żadna nowa wojna nie jest rozgrywana przy pomocy środków wojny poprzedniej, że jej planowanie i przebieg będą zupełnie inne, zwłaszcza w dzisiejszym świecie szybko rozwijającej się techniki. Ale zwykle życie ich zaskakuje, tak jak tych, którzy u początków II wojny światowej wysyłali na front kawalerię, i jak zaskoczy tych, którzy dziś przechwalają się liczbą czołgów i rakiet. Ponieważ rozpętanie wojny na pełną skalę doprowadzi do nuklearnej zagłady, a więc jest przeciwnie, trzeba próbować innych, bardziej skrytych, metod walki. Przede wszystkim cybernetycznych: przez Internet można dziś szpiegować skuteczniej niż przez nasłanych agentów, uszkadzać elektronicznie i fabryki, paraliżować służby państwowe, siać dezinformację, a nawet panikę.

Bezpieczne i tanie jest nasycenie mediów społecznościowych w Afryce pogłoskami o tym, jak dobrze jest uchodźcom w Europie. Dobrze jest wciągnąć potencjalnego przeciwnika w wyniszczający konflikt w jakimś odległym i niezrozumiałym kraju. Przecież smartfon z dostępem do Internetu ma dziś każdy

łatwowierny biedak marzący o lepszym życiu i zaczynający pojmować własną godność. Nie jest też tak odległa możliwość wywołania klęsk żywiołowych w odległych nawet stronach, tak aby przyczyny wyglądały na naturalne. Najcenniejsze w takiej wojnie są dywizje nie czołgów, ale szeregowych internetowych trolli siejących zamęt i pomieszanie pojęć, sprawnych w posługiwaniu się kłamstwem. Genialni hakerzy włamujący się do banków i ministerstw to nieliczna elita, tu potrzebna jest armia; nie wystarczy – w kółko powtarzające tę samą głupotę – zautomatyzowane „boty”. Chodzi o to, żeby złamać wolę oporu i trwania przy bliskich nam wartościach, otumanic przysłowiowego „pana Biedermanna” z proroczej sztuki Maxa Frischa, który dla zachowania świętego spokoju ufa, że jego to nie dotyczy, że podpalacze ominą jego własne gniazdko.

■ DOBRY HUMOR PANA BIEDERMANN

Tak w dzisiejszym świecie trwa wielka wojna toczona przy pomocy skromnych środków. Nie wiadomo, kiedy się rozpoczęła i jak się zakończy. Może trwa już od czasów Korei i Wietnamu z krótką przerwą na złudzenia pięknych lat dziewięćdziesiątych... Może ruszyła dopiero w bieżącym stuleciu wraz z rozwojem Internetu, który dostarczył jej środków. Nie jest potrzebny w tej wojnie zabór terytorium, wystarczy jego obezwładnienie. Nawet osamotnionego i pozbawionego sojuszy państwa nie trzeba okupować, wystarczy wysłać tam „zielonych ludzików” lub zmanipulować terrorystów. Dowodzą tego przykłady Gruzji, Ukrainy czy Syrii albo Libii. Bombardowania z powietrza nie pomogą, tak jak nie pomogły w Wietnamie. Jest to wojna asymetryczna, w której zwycięzcą nie musi być państwo silniejsze i lepiej uzbrojone.

Tego wszystkiego nie chcemy dostrzegać. Nie chcemy o tym wiedzieć. Karmieni internetowym i politycznym strachem, czepiamy się resztek słabnącej nadziei. Pan Biedermann już wie, że świata nie zmieni, ale nie przyjmuje do wiadomości jego obecnej postaci, bo chce dożyć swoich lat w jako tako dobrym humorze i konsumpcyjnej wygodzie, dlatego zaciska na własnej szyi pętlę gazociągu Nord Stream 2. Ale świat dryfuje w swoim kierunku niezależnie od nadziei jego mieszkańców, tak jak dryfował w starożytności, w średniowieczu i będzie dryfował zawsze. Przemija postać świata, tylko my tego nie przyjmujemy do wiadomości.

■ KTO ZROZUMIE DUCHA ZROZPACZONYCH MAS?

Czy któryś z dzisiejszych przywódców, albo któryś z kandydatów na nich, wie, jak nas wyprowadzić na spokojniejsze wody? Wątpię. Nostalgiczne obietnice powrotu do czasów, kiedy „Polska była wielka” albo chwackie pokrzykiwanie, że „uczynię Amerykę znowu potężną”, to tylko znieczulające plasterki nakładane na ranę, która może okazać się śmiertelną. Prawdziwe oblicze właśnie rozpoczętego wieku XXI – pełne strachu, złości, buntu przeciw elitom, władzy i wszystkiemu dookoła – nie jest „przelotnym epizodem”, jak niedawno powiedział pewien nasz sympatyczny, ale do szpiku kości XX-wieczny polityk. Rozchwianie struktur, do jakich przywykliśmy, utrudnia poród nowych. Tylko ten przywódca utrzyma się jak surfer na szczycie wzbierającej fali, który zrozumie ducha zrozpaczonych mas. Zanim – tak jak niejednemu surferowi – fala pogruchocze mu kości.

Jerzy Surdykowski

